

# MANIPULACJA, PROWOKACJA, DEZINFORMACJA

## Dziedzictwo Dżyngis Chana

W XX wieku w Rosji pojawiła się cała plejada wybitnych historyków i myślicieli, którzy odwrócili zupełnie myślenie o przeszłości Rosji. O ile do tej pory kraj ten uważano za dziedzicą Rusi Kijowskiej, którego dziejowym powołaniem było zjednoczenie ziem ruskich, o tyle wówczas pojawiła się myśl, że jest on spadkobiercą imperium Dżyngis Chana, którego zadaniem pozostaje zjednoczenie Eurazji. Do grona tego typu osobistości, które wywarły niewątpliwy wpływ na rosyjskie życie umysłowe, należeli m.in.: książę Nikołaj Trubeckoj, Nikołaj Aleksiejew, Piotr Sawicki, Lew Karsawin czy Lew Gumilow.

Panowanie mongoło-tatarskie nad Rusią Moskiewską trwało ponad dwa wieki i odcisnęło na niej trwałe piętno, tym bardziej, że były to stulecia, w których kształtował się dopiero *ethos* rosyj-

ski. Od Złotej Ordy przejęto więc państwo moskiewskie struktury i mechanizmy życia społecznego, np. system podatkowy, który funkcjonował w Rosji aż do rewolucji październikowej (i który nakładał podatki nawet na kury). Także podział bojarstwa na rangi, tzw. *czyny*, opierał się na wzorcach mongolskich (samo słowo *czyn* było pochodzenia chińskiego), nie mówiąc już o tym, że niektóre rody bojarские, na przykład Subarowie, wywodziły się z plemion tatarskich. Władcy moskiewscy przejmowali też z Saraju rozbudowany ceremonial dworski, mocno kontrastujący z prostymi obyczajami dawnej Rusi.

Podobne wnioski formułował amerykański historyk Michael Cherniavsky, który w swych pracach dowodził, że moskiewska koncepcja władzy i modelu panowania przejęta została nie z Bizancjum, lecz ze Złotej Ordy, innymi słowy: car miał więcej w sobie z chana niż z *basileusa*. System oparty na podboju i tyranii nie był bowiem pochodzenia bizantyjskiego, lecz azjatyckiego.

Symboliczny pozostaje zwłaszcza fakt, że wśród insygniów koronacyjnych carów moskiewskich znajdowała się „czapka Monomacha” (po raz pierwszy wymieniona w testamencie wielkiego księcia Iwana I Kality w 1339 roku jako „złota czapka”), która według rosyjskich przekazów miała zostać podarowana księciu kijowskiemu Włodzimierzowi przez imperatora bizantyjskiego Konstantyna IX (co oznaczać miało, że Moskwa jest prawowitym sukcesorem Konstantynopola), w rzeczywistości zaś nakrycie głowy było prezentem dla Iwana I od chana Uzbeka.

Kto wie, czy najbardziej symptomatyczna dla omawianych tu spraw nie jest jednak kwestia *obszcziny*, czyli prarosyjskiej gminy.

Dla XIX-wiecznych słowianofilów ta instytucja zbiorowego władania ziemią przez chłopską gromadę była samą esencją rosyjskości i decydować miała o rosyjskiej odmienności wobec krajów europejskich. Instytucja ta, wynoszona pod niebiosa m.in. przez Hercena, Danilewskiego czy Samarina, miała powstać w czasach przeddziejowych jako naturalny przejaw mądrości życiowej rosyjskiego ludu. Tymczasem badania historyków - Cziczeryna, Kluczewskiego i Milukowa - dowiodły, że *obszczina* była wynalazkiem Tatarów, którzy wymyślili ją i narzucili Rusi w XIII wieku tylko po to, by łatwiej było ściągać daninę z ludności. Także inne badania pokazują, że wiele elementów, które bez zastrzeżeń uznawano do tej pory za wykwint rosyjskiego ducha, jest w rzeczywistości przejęciem wzorów mongoł-tatarskich.

W świetle tego, co zostało wyżej powiedziane, przyjrzyjmy się więc metodzie prowadzenia wojen, a zwłaszcza specyficznemu sposobowi osiągnięcia zwycięstw nad przeciwnikiem.

## Misje kupieckie

W dawnych czasach rolę środków masowego przekazu pełniły bazy. Odpowiednikami współczesnych dziennikarzy i publicystów - a więc, jak powiedzielibyśmy dzisiaj, liderów opinii publicznej - byli kupcy. To oni najlepiej znali świat, podróżowali po różnych krajach, mieli najwięcej informacji. Kiedy docierali do jakiegoś miasta, zjawiali się na targu.

Targ był czymś więcej niż tylko miejscem handlu, kupna i sprzedaży, był centrum informacyjnym, miejscem wymiany po-

gładów. Św. Grzegorz z Nazjanzu pozostawia nam opisy wielkich sporów teologicznych, toczone w dobie soboru chalcedońskiego, przez handlarzy i przekupniów na bazarach bizantyjskich. Nowe wieści rozchodziły się zawsze z targów. Przywożone przez kupców, powtarzane z ust do ust przez straganiarzy, były następnie roznoszone po niedalekich wsiach i miasteczkach przez okolicznych mieszkańców.

To kupcy sterowali dyskusją - mogli podrzucać nowe tematy, rozpalać wyobraźnię, mylić tropy, odwracać uwagę. Jeśli więc dostatecznie wielu kupców pojawi się jednocześnie w wielu miastach z tymi samymi informacjami, mogą oni wręcz narzucić nową wizję świata. I to postanowił wykorzystać Dżyngis Chan.

Mongolski wódz, zanim przystępował do nowego podboju, wysyłał do kraju, który zamierzał podbić, swoich wywiadowców. Najczęściej pojawiali się oni jako kupcy na czele wielkich karawan, zaopatrzonych w tanie i dobre towary. Żeby nie budzić podejrzeń, najczęściej w roli tej nie występowali sami Mongołowie, lecz raczej Polowcy, Chorezmijczycy czy Rusini. Wcześniej przechodzili oni odpowiednie szkolenie, gdzie uczono ich pracy wywiadowczej. Sporządzali na przykład szkice, na które nanosili każdy zagajnik, bród czy łąkę na popas. Kiedy później hordy przystępowały do ataku, bezbłędnie wykorzystywały znajomość terenu.

Działalność „kupców” nie ograniczała się jedynie do rozpoznania topograficznego, lecz również do rozpoznania stosunków politycznych, społecznych, ekonomicznych i religijnych. Wykorzystując tę wiedzę, manipulowali odpowiednio informacjami, by

rozbudzać właśnie plemienne i wyznaniowe, a w ten sposób doprowadzić do maksymalnego osłabienia wewnętrznego swego przyszłego przeciwnika, rozbijając jego jedność i solidarność. Zarazem członkowie karawan w niby dyskretny sposób rozprowadzali wokół o wielkich dobrodziejstwach, jakie przynoszą wszędzie prostej ludności wojska Złotej Ordy.

„Dżyngis Chan miał doskonale zorganizowany aparat szepcanej propagandy, który osłabia! wolę oporu zaplanowanej ofiary” - te słowa nie wyszły spod pióra historyka zajmującego się średniowieczem, lecz jednego z najwybitniejszych sowietologów II Rzeczypospolitej, eksperta Instytutu Europy Wschodniej w Wilnie, Stanisława Swianiewicza. Znalazły się natomiast w jego pracy opisującej metody sowieckiej infiltracji w Polsce przed 1939 rokiem. Nie uprzedzajmy jednak faktów...

Jak zauważył Witold St. Michałowski, „za panowania Dżyngisydów nie zarejestrowano wielu przykładów indywidualnej odwagi i bohaterstwa”. Nic w tym dziwnego - starali się oni bowiem prowadzić swe podboje tak, aby odwaga i bohaterstwo nie były potrzebne. Ich ideałem było osiągnięcie zwycięstwa nad przeciwnikiem bez używania siły. Ten sposób pojmowania konfliktów został zaczerpnięty z dzieła, które znacznie później, bo w XX wieku, stało się „biblią” sowieckich służb specjalnych.

## Zwycięzać bez użycia siły

Sun Tzu był genialnym strategiem wojskowym, żyjącym dwadzieścia pięć wieków temu w Chinach. Dowodził wojskami króla Wej,

odnosząc same sukcesy. Swoje przemyślenia zawarł w księdze „Sztuka wojny”, która - jak wiemy z przekazów - znana była japońskim władcom już w VIII stuleciu. „Ci, którzy są znawcami sztuki wojennej, pokonują nieprzyjacielską armię bez walki. Zdobywają miasta bez przypuszczania szturmów i obalają państwo bez długotrwałych działań”, pisał Sun Tzu i dodawał: „Waszym celem powinno być opanowanie w stanie nietkniętym wszystkiego, co jest pod słońcem. W ten sposób wasze wojska pozostaną nie zmęczone, a wasze zwycięstwo będzie całkowite. Oto sztuka ofensywnej strategii.”

Jak to jednak osiągnąć? W tym celu Sun Tzu podawał „13 złotych zasad”:

1. Dyskredytujcie wszystko co dobre w kraju przeciwnika.
2. Wciągajcie przedstawicieli warstw rządzących przeciwnika w przestępcze przedsięwzięcia.
3. Podrywajcie ich dobre imię. I w odpowiednim momencie rzućcie ich na pastwę pogardy rodaków.
4. Korzystajcie ze współpracy istot najbliższych i najbardziej odrażających.
5. Dezorganizujcie wszelkimi sposobami działalność rządu przeciwnika.
6. Zasiewajcie waśnie i niezgodę między obywatelami wrogości kraju.
7. Buntujcie młodych przeciwko starym.
8. Ośmieszajcie tradycje waszych przeciwników.
9. Wszelkimi siłami wprowadzajcie zamieszanie na zapleczu, w zaopatrzeniu i wśród wojsk wroga.

10. Osłabiajcie wolę walki nieprzyjacielskich żołnierzy za pomocą zmysłowych piosenek i muzyki.
11. Podeślijcie im nierządnicę, żeby dokończyły dzieła zniszczenia.
12. Nie szczydźcie obietnic i podarunków, żeby zdobyć wiadomości. Nie żałujcie pieniędzy, bo pieniądź w ten sposób wydany zwróci się stukrotnie.
13. Infiltrujcie wszędzie swoich szpiegów.

„Tylko człowiek, który ma do dyspozycji takie właśnie środki i potrafi je wykorzystać, żeby wszędzie siać niezgodę i rozkład - tylko taki człowiek godzien jest rządzić i wydawać rozkazy. Jest on skarbem dla swojego władcy i ostoją państwa" - tymi słowami Sun Tzu podsumowywał kodeks swych wojennych zasad.

Owych „13 złotych zasad" było instrukcją działania dla wysyłanych przez Dżyngis Chana kupców. Ponieważ mogli dotrzeć wszędzie i spotykać się ze wszystkimi, mieli możliwość dyskretnej realizacji, punkt po punkcie, powyższych założeń.

W XX wieku ich rolę przejęli inni „liderzy opinii publicznej". Dopiero w świetle tych faktów staje się zrozumiała sowiecka szpiegomania, każąca w każdym cudzoziemcu widzieć potencjalnego agenta i starająca się objąć tajemnicą państwową jak największej dziedzin życia - był to efekt przykładania do innych swojej własnej miary.

W innym miejscu Sun Tzu pisał: „Cała sztuka wojenna opiera się na przebiegłości i stwarzaniu złudzeń". Dlatego też dla powodzenia batalii ważniejsza od siły oręża jest umiejętność stosowania takich technik, jak dezinformacja, manipulacja i prowokacja.

## Trzeci Rzym albo Drugi Saraj

Wielcy wojownicy, Dżyngis Chan i Tamerlan, przyswoili sobie nauki Sun Tzu. Ich wojska były niezwykłe, gdyż wkraczały do akcji - jak pisał rosyjski generał Iwanin w 1875 roku - „dopiero w końcowym etapie, dopiero wówczas, gdy na rzecz armii spadał względnie łatwy obowiązek ostatecznego spacyfikowania kraju, przeznaczonego na opanowanie”. O prawdziwym sukcesie ofensywy decydowała natomiast podjęta znacznie wcześniej długotrwała akcja rozpoznawcza, dywersyjna i rozkładowa. Armia miała za zadanie postawić tylko kropkę nad „i”. Jak pisał inny rosyjski teoretyk wojskowości, wykładowca w sowieckich szkołach wojskowych, generał Aleksander Swieczin: „większa wyprawa wojskowa była przedsięwzięta tylko wówczas, gdy zjawiała się pewność, że w organizmie państwowym sąsiada powstały głębokie szpary”.

Znany XIX-wieczny historyk wojskowości, członek wojennego komitetu naukowego przy sztabie głównym w Petersburgu, książę Nikołaj Golicyn pisał, że system wojenny Dżyngis Chana „był opanowany przez nas [Rosjan], wchodząc w ciąg dwu stuleci tatarskiej niewoli w nasze wojskowe zwyczaje i obyczaje w okresie przed reformami Piotra I”. Wspomniany już generał Swieczin podkreślał zwłaszcza zapożyczenia w dziedzinie służby wywiadowczej.

System ten był przejmowany nie w teorii, lecz w praktyce, co rosyjscy historycy wojskowości prześledzili na przykładzie straży rosyjskiej przy dworze Chubilaj Chana (wnuka Dżyngis Chana, cesarza Chin i założyciela panującej dynastii Juan) czy też mo-



skiewskich oddziałów podporządkowanych chanom Złotej Ordy, np. Tochtamyszowi. U Tatarów terminował nawet św. Aleksander Newski, który najpierw bronił Nowogrodu przed Szwedami i Krzyżakami, a później od mieszkańców tegoż Nowogrodu ściągał haracz w ramach tatarskich ekspedycji karnych.

Rosyjski historyk Paweł Milukow pisał, że gdy skończyła się mongolska niewola, wielcy książęta moskiewscy nie byli w stanie „rozwinąć innego programu, oprócz tego dawnego, tradycyjnego, który stał się instynktem: jeszcze więcej zabiegać i zbierać, oszukiwać i gwałty czynić - z jednym celem - zdobycia jak największej władzy i jak największej ilości pieniędzy”.

Typowym przykładem tego rodzaju polityka był car Iwan IV Groźny. Jego reforma wojskowa dokonała się według wzorów tureckich, zaś powstanie słynącej z niesłychanego okrucieństwa gwardii przybocznej cara, tzw. *opryczniny*, zwanej niekiedy „ciemnością nieprzeniknioną”, nawiązywało do modelu mongolskiego. Dżyngis Chan dzielił bowiem ludzi na dwie kategorie: tych, których można zastraszyć, i tych, którzy nie odczuwają strachu. Pierwszych utożsamiał z ludami osiadłymi, drugich z koczownikami. Dlatego uważał, że polegać można tylko na koczownikach. Pewne podobieństwa odnaleźć można też w postępowaniu Iwana Groźnego, który w swoich rządach postanowił oprzeć się na ludziach wykorzenionych, igrających ze śmiercią, nie respektujących żadnych zasad i norm. Z takiego materiału ludzkiego rekrutowała się jego *oprycznina* - organizacja terrorystyczna umiejscowiona między władcą a klasą uprzywilejowaną. Ten sam model działania wykorzystają później Piotr I i Stalin.

Car popierał politykę dezinformacji. Zachowały się jego instrukcje do posłów moskiewskich na dworach europejskich, nakazujące kłamać na temat potęgi i stanu posiadania władcy. W błąd wprowadzano także cudzoziemców przyjeżdżających do Moskwy. Jak pisze biograf Iwana Groźnego, Władysław Serczyk: „Szczególny protokół obowiązywał przy przyjmowaniu książęcych gości przybywających z zagranicy, a zwłaszcza ważniejszych poselstw. By przybycze mieli dobre mniemanie o bogactwie i gęstości zaludnienia państwa, w dniu przyjęcia legacji zamykano wszystkie sklepy, kramy i warsztaty, a ludzi spędzano na trasę przejazdu cudzoziemców. Tłum powiększano gromadząc na ulicy służbę z domów bojarskich i szlacheckich, a nawet z okolicznych osiedli podmoskiewskich.”

Ta tradycja *pokazuchy* nie tylko zachowała się w czasach późniejszych, lecz nawet została twórczo rozwinięta, by wspomnieć o sztucznych „wioskach potiomkinowskich” w XVIII stuleciu czy też o przyjazdach do ZSRS w latach trzydziestych XX wieku zachodnich pisarzy w rodzaju Romaina Rollanda, Andre Gide'a czy Leona Feuchtwangera, którzy podziwiali „socjalizm z ludzką twarzą”. Anegdota mówi, że jeden z owych twórców, George Bernard Shaw zachwycał się po powrocie do Wielkiej Brytanii, że w Związku Sowieckim nawet szwaczki znają na pamięć jego dramaty i recytują między sobą z pamięci podczas pracy w fabrykach - oczywiście po angielsku!

## Po kupcach - encyklopedyści

O tym, że rosyjscy władcy wzięli sobie do serca nauki Sun Tzu i Dżyngis Chana, świadczy historia rozbiorów Rzeczypospolitej.

Zanim nastąpił podbój militarny, miała miejsce długoletnia akcja dywersyjna, prowadząca m.in. do rozkładu moralnego elit rządzących Polską. Kiedy w ręce powstańców kościuszkowskich wpadło archiwum ambasadora rosyjskiego Igelstróma, ujawniono listę 110 najważniejszych osób w państwie polskim, które przez lata pobierały niejawne pobory z petersburskiej kasy. Byli wśród nich m.in. król Stanisław August Poniatowski, ks. Adam Czartoryski, prymasi Łubieński i Poniatowski oraz dziesiątki innych urzędników państwowych i dostojników kościelnych.

Innym zapożyczeniem od Dżyngis Chana był sposób przedstawienia rozbiorów zachodniej opinii publicznej. Raymond Aron stwierdził kiedyś, że geniusz to ten, kto potrafi narzucić swoją wizję rzeczywistości masom. W drugiej połowie XVIII wieku takimi geniuszami byli z pewnością francuscy encyklopedyści, którzy potrafili narzucić swój oświeceniowy ład całemu światu. Najwybitniejszymi ze wszystkich encyklopedystów byli jednak Diderot i Wolter. Ich też postanowili wprząc do swego rydwanu petersburscy władcy jako „agentów wpływu”.

Katarzyna II kupiła Diderotowi wielki księgozbiór za 15 tysięcy cyliwów i ustanowiła go dożywotnim strażnikiem tej biblioteki z roczną pensją tysiąca cyliwów. Nic więc dziwnego, że filozof oddał swoje pióro na usługi Petersburga. Stawiał barbarzyńskiej rzekomo Francji jako wzór do naśladowania Rosję czyli „idealne państwo rozumu”. Na cześć carycy Katarzyny pisał zaś hymny pochwalne, tak serwilistyczne, że dadzą się porównać tylko z XX-wiecznymi peanami na cześć Stalina, pisanymi przez Paula Eluarda czy Johannesesa R. Bechera.

Jeszcze bardziej spolegliwy wobec rosyjskich instrukcji okazał się Wolter. Za odpowiednią zapłatę w dukatach, wypłaconą mu przez księcia Woroncowa, usprawiedliwiał rosyjską politykę wobec Polski, zakończoną rozbiorami. Swoje zadanie wypełniał, nie tylko publikując oszczerczą wobec Rzeczypospolitej broszurę, lecz również rozsyłając listy do swoich znajomych, o których wiedział, że mają wpływ na opinię publiczną. W korespondencji z panią du Deffand pisał: „Semiranda Północy wysłała pięćdziesiąt tysięcy wojska do Polski, by wprowadzić tam tolerancję i wolność sumienia”. W liście do Szuwałowa entuzjasmował się: „Zdarza się to po raz pierwszy w historii świata, że sztandar wojny został podniesiony tylko po to, by dać ludziom pokój i szczęście”. Helwecjuszowi pisał natomiast: „Jest oszczerstwem twierdzenie, jakoby imperatorowa rosyjska wspierała dysydentów w Polsce tylko po to, aby zagarnąć kilka prowincji tej republiki. Przysięgała ona, że nie pragnie ani skrawka tej ziemi, a wszystko, co robi, podporządkowane jest jednemu - ustanowieniu tolerancji.”

Tak więc rozbiory Rzeczypospolitej były usprawiedliwiane przez Woltera koniecznością zaprowadzenia tolerancji, gdyż ciemne katolickie masy polskie nie gwarantowały dysydemtom religijnym wolności wyznania. Podobna argumentacja pojawi się w propagandzie filosowieckiej po II wojnie światowej, kiedy zniewolenie Polski przez Sowieców będzie usprawiedliwiane zdławieniem rzekomo odwiecznego polskiego antysemityzmu.

Sam Wolter zresztą wielokrotnie sprzedawał swój talent polemiczny carom rosyjskim. Sprzedawał najzupełniej dosłownie. Najlepszą transakcją było napisanie przez niego „Historii Piotra I”,

O którym to dziele d'Alambert wyraził się, że „wywołuje obrzydzenie niskością i plugawością swych pochwał”. Wolter, który na europejskich dworach uchodził za wzór niezależności myślenia i nonkonformizmu działania, zgarnął za swój utwór, pisany przy pomocy rosyjskich cenzorów, 100 tysięcy liwrów.

W swym dziele na temat Piotra I francuski filozof pominął pewną ważną zasługę rosyjskiego cara. Otóż to on jako pierwszy z rosyjskich władców docenił rolę dziennikarstwa i znaczenie opinii publicznej w krajach Europy Zachodniej. Postanowił więc wpływać przez nie na obraz Rosji, kształtowany za granicą. Jak pisze rosyjski historyk Piotr Piekarski w swej książce „Nauka i literatura w Rosji”: „Piotr uznał za wystarczające wynająć około tuzina redaktorów naczelnych i dziennikarzy, którzy zobowiązali by się pisać artykuły o Rosji w pożądanym duchu, zgodnie z wytycznymi rządu. Agenci werbowali więc adwokatów sprawy rosyjskiej wśród europejskich dziennikarzy i literatów ze wszystkich krajów.”

Długa jest lista sprzedajnych pisarzy, wykonujących polecenia Rosji: Fontenelle, Marmontel, Grimm, Falconet, Mercier, Dumas - to tylko pierwsze z brzegu nazwiska. Cały wiek XIX zresztą to okres nieustannego subsydiowania przez Rosję największych gazet europejskich, wśród których znajdował się m.in. brytyjski „Times”. Pieniądze płacono m.in. za niepodejmowanie na swoich łamach „kwestii polskiej”. Największą liczbę ludzi pióra zwerbował rosyjski agent w Paryżu Jaków Tołstoj. W jednej z depeesz do szefa rosyjskiej policji, generała Benkendorfa, donosił: „«La Quotidienne» jest całkowicie oddana interesom Rosji. Panowie Michaux i Lyoranty

będą przyjmować do druku wszystko, co zechcemy im dać na temat Rosji." Ponad pół wieku później, w 1904 roku, inny agent rosyjski w Paryżu Raffatowicz raportował do centrali: „W ciągu pierwszych miesięcy potworna sprzedajność prasy francuskiej pochłonęła sumę 600.000 franków". Według danych rosyjskiego ministerstwa finansów z 1906 roku, jedynie dotacje dla prasy francuskiej w samym tylko roku 1905 kosztowały budżet państwa ponad dwa miliony franków.

Zastanawiające jest, że ci sami zachodni autorzy, którzy tak chętnie wychwalali Rosję, z drugiej strony podkopywali fundamenty tradycji w swoich krajach, często występowali przeciw ogólnie przyjętym normom moralnym, atakowali Kościół, osłabiali rodzinę. Zupełnie jakby realizowali program zawarty w „13 złotych zasadach" Sun Tzu.

Nic więc dziwnego, że w 1856 roku Ludwik Mierosławski pisał: „Czemu przypisać tę niemal niemoc wszelkich wysiłków materialnych Francji i Anglii przeciwko państwu trzykrotnie słabszemu technicznie, niż każde z nich, jeśli nie temu naczelnemu rozbrojeniu, tej niewidzialnej malarii, którą sączą doktryny rosyjskie poprzez wszystkie szczyty społeczne Zachodu, aż wreszcie przedostają się one do najgłębszych pokładów społeczeństwa zachodniego. Doktryny te mogą być tylko zaprzeczane i to właśnie czyni je tak groźnymi. Idea rosyjska, to w istocie ceszarat mongolski starożytności, czyli zaprzeczenie drogą pochłaniania wszelkich praw ludzkości. Ma ona zbyt wiele sprytu na to, by miała wystąpić otwarcie, zadawała się wszczepianiem własnych nienawiści i wstrętów w sercu narodów, po których duszę sięga. Ileż złych in-

stynktów, ileż zawiści mrocznych, ileż zaprzaństwa duchowego, ile, zwłaszcza, słabości dostało się nieświadomie na żołąd tego kuciela, który drugą ręką sieje oszczerstwa przeciwko wszystkiemu, co mu staje na przeszkodzie."

## Po encyklopedystach - intelektualistów

Encyklopedyści nie dożyli już czasów, kiedy ich pojętni uczniowie sformowali nową klasę - intelektualistów. Zdaniem Friedricha Augusta von Hayeka, nigdy nie posiadali oni większej władzy niż w wieku XX, kształtując wyobrażenia mas i modelując opinię publiczną. Hayek, definiując intelektualistów jako „sprzedawców używanych idei”, zauważał, że „przeciętny człowiek dnia dzisiejszego niewiele dowiaduje się o wydarzeniach czy ideach bez pośrednictwa tej klasy”, tak więc to intelektualiści „decydują, które opinie i poglądy do nas dotrą, które fakty są dość ważne, byśmy je poznali, w jakiej formie i pod jakim kątem powinny zostać ukazane”. Przy tym wszystkim przeciętny człowiek nie zdaje sobie sprawy, czy intelektualiści wiernie opisują rzeczywistość, czy też deformują jej opis zgodnie ze swoimi poglądami. Lub zgodnie ze zleceniami mocodawców - mógłby powiedzieć ktoś obeznany w historii kolaboracji XX-wiecznych intelektualistów z reżimami totalitarnymi.

Niewątpliwym sukcesem sowieckich komunistów było to, że nie wszyscy zachodni intelektualiści oddawali się na usługi komunizmu za pieniądze. Niezależnie od tego, czy zaangażowanie tych ostatnich tłumaczyć „ukąszeniem heglowskim”, „zdradą klerków”

czy „hańbą domową”, nie zmienia to faktu, że przez samych bolszewików traktowani byli - tak jak nazywał ich Lenin - jak „użyteczni idioci”. Jak zauważył emigracyjny znawca problemów ZSRS Michał Heller, „specyfika sowieckiej dezinformacji polega na tym, że czerpie ona swe soki żywotne z postawy Zachodu, który po otrzymaniu impulsu z Moskwy, dezinformuje się już sam”.

Lista nazwisk może porażać: Jean-Paul Sartre, Louis Aragon, Andre Breton, Simone de Beauvoir, Paul Eluard, Henri Barbusse, Romain Rolland, Jean Cocteau, Andre Malraux, Paul Valery, Herbert George Wells, George Bernard Shaw, Ernest Hemingway, Man Ray, Sinclair Lewis, Upton Sinclair, Virginia Woolf, Luis Buñuel, Stefan Zweig, Heinrich Mann, Anna Seghers, Tristan Tzara i inni.

Nie wszyscy byli jednak idiotami i znali swoją cenę. Leon Feuchtwanger zjawił się w Moskwie w 1937 roku akurat podczas apogeum „wielkiej czystki” i procesów pokazowych. Podczas rozmowy ze Stalinem narzekał na panujący w ZSRS kult jednostki, jednak zgodził się napisać książkę wychwalającą zalety państwa sowieckiego, ustroju komunistycznego i wielkiego wodza - Józefa Stalina. Miał tylko jeden warunek: żeby podczas drugiego procesu darowano życie wszystkim oskarżonym pochodzenia żydowskiego. Stalin przystał na to i jeszcze w tym samym roku ukazała się drukiem książka pt. „Moskwa 1937”.

Pierwszą wielką imprezą polityczno-kulturalną, która ściągnęła wiele z wymienionych wyżej sław literackich, był zorganizowany w czerwcu 1935 roku w Paryżu Międzynarodowy Kongres Pisarzy w Obronie Kultury. Myliłby się ten, kto by myślał, że pomysł owego przedsięwzięcia wyszedł od któregoś z owych



twórców. Inicjatorem zwołania kongresu był osobiście Józef Stalin, który zadanie to powierzył sowieckiemu pisarzowi, a zarazem korespondentowi „Izwestii” w Paryżu - Ilji Erenburgowi. O tym dowiedziano się jednak wiele lat później. Dla ówczesnych Europejczyków kongres miał być manifestacją postępowych poglądów świata literackiego. Świata nieświadomie realizującego „13 złotych zasad”.

O skuteczności sowieckiej akcji niech świadczy następujący przykład: w 1933 roku na Ukrainie w wyniku sztucznie wywołanego przez Stalina Wielkiego Głodu zmarło - według różnych szacunków - od 6 do 12 milionów ludzi. Korespondentem „New York Timesa” w Moskwie był wówczas Walter Duranty, który za swe reportaże z Rosji otrzymał nawet Nagrodę Pulitzera. Duranty pisał, że owszem w ZSRS panuje klęska, ale jest to klęska urodzaju - i rozwodził się długo o „tłuściutkich niemowlakach w żłobkach i przedszkolach” oraz bazarach „pełnych jajek, owoców, drobiu, jarzyn, mleka i masła”. W tym samym czasie wiejskie drogi i ulice miast na Ukrainie zastane były ludzkimi trupami, obgryzano nawet korę z drzew, a przypadki kanibalizmu nie należały do rzadkości.

A jednak wiedza o Wielkim Głodzie nie przebiła się do świadomości społeczeństw zachodnich. Korespondencje Malcolma Muggeridge'a na ten temat były cenzurowane w redakcji „Manchester Guardian”. Para znanych socjologów Sydney i Beatrice Webb stawiała kolektywizację oraz rolniczy system ZSRS jako wzór „nowej cywilizacji” i przykład do naśladowania dla państw kapitalistycznych. W Hollywood natomiast nakręcono wkrótce

potem film pt. „Zorza polarna”, w którym sowiecki kolchoz przedstawiono idyllicznie niczym raj na ziemi.

## Jezus - materialista, Stalin - dobra kobieta

Kiedy przed II wojną światową zbiegł do USA agent GPU Walter Krywicki, wśród swoich rozmówców w Ameryce nie znalazł nikogo, z kim mógłby poważnie porozmawiać o ZSRS. Sowietologia amerykańska znajdowała się bowiem w powijakach, a nowojorscy dziennikarze zadawali Krywickiemu naiwne pytania w stylu: czy to prawda, że Stalin wydaje rozkazy Kominternowi?

W owym czasie jeden z krajów, w których refleksja sowietologiczna była najlepiej rozwinięta, stanowiła Polska. Do czołowych znawców problemu należeli m.in. wspomniany już Stanisław Swianiewicz, Ryszard Wraga czy też Włodzimierz Bączkowski. Ten ostatni w 1938 roku opublikował znaczący szkic pt. „Uwagi o istocie siły rosyjskiej”. Podkreślając zapożyczenia Rosjan w dziedzinie wojskowości z tradycji tataro-mongolskiej, Bączkowski pisał: „Głównym rodzajem broni rosyjskiej, decydującym o dotychczasowej trwałości Rosji, jej sile i ewentualnych przyszłych zwycięstwach, nie jest normalny w warunkach europejskich czynnik siły militarnej, lecz głęboka akcja polityczna, nacechowana treścią dywersyjną, rozkładową i propagandową.”

Bączkowski zwracał uwagę na „olbrzymie wybrzuszenie w strukturze państwowej Rosji czynników wywiadu, policji politycznej i narzędzi dywersji”, w porównaniu z którymi „armia rosyjska jest *de facto* drugoplanowym rodzajem broni rosyjskiej”.

Już pierwszy schemat organizacyjny sowieckiej bezpieki - CzeKa - zawierał Wydział Prowokacji, który w ramach kolejnych przekształceń zamienił się w Biuro Dezinformacji, zaś od 1959 roku zaczął działać jako Wydział „D” I Zarządu Głównego KGB, a od 1969 roku jako Wydział „A” Zarządu Zagranicznego. Na skutek każdej kolejnej reorganizacji rosły znaczenie i liczebność struktur dezinformacyjnych w ramach sowieckich służb specjalnych.

Pisząc swój tekst w 1938 roku Bączkowski nie mógł nawet przypuszczać, jakiego rozmachu nabierze akcja dywersyjna ZSRS po II wojnie światowej. Żeby rozkładać od wewnątrz burżuazyjne społeczeństwa świata kapitalistycznego, inspirowano i wspierano działalność wielu najróżniejszych ruchów i ugrupowań.

Jest rzeczą obecnie powszechnie znaną, że aktywność najbardziej znanych organizacji terrorystycznych na świecie była sponsorowana i wspomagana przez Sowietów. Do grup potajemnie faworyzowanych przez Kreml należały m.in.: La Lotta Continua, Czerwone Brygady, Baader-Meinhof, Rote Armee Fraktion, IRA czy ETA. Najbardziej poszukiwani na świecie terroryści, tacy jak Carlos czy Abu Nidal, korzystali z gościny, szkoleń i pomocy w krajach komunistycznych. Moskwa nakręcała jednak nie tylko terror lewacki, lecz również skrajnie prawicowy. Dopiero po otwarciu archiwów Stasi okazało się na przykład, że Grupa Sportów Obronnych Hoffmana, odpowiedzialna za wiele zamachów, m.in. za krwawy zamach bombowy podczas *Oktoberfest* w Monachium w 1980 roku, była kierowana przez komunistycznych agentów z NRD.

Podobnie infiltrowany i sterowany przez moskiewską centralę był ruch pacyfistyczny, który w krajach zachodnich potrafił zgromadzić na ulicach setki milionów ludzi, protestujących najpierw przeciwko wojnie w Korei, później przeciw amerykańskiej interwencji w Wietnamie, w końcu zaś przeciw rozmieszczeniu amerykańskich rakiet Pershing w Europie Zachodniej (oczywiście podobnych protestów nie było przeciw rozmieszczeniu rosyjskich rakiet SS-20 w Europie Wschodniej, choć to Sowieci zaczęli, zaś Amerykanie tylko odpowiedzieli na ich krok). Zjawisko to opisał bardzo precyzyjnie Władimir Bukowski w swej pracy „Pacyfiści kontra pokój”.

Z kolei w książce pt. „Czerwona kokaina. Narkotyzowanie Ameryki i Zachodu” amerykański ekspert ds. handlu narkotykami Joseph D. Douglas ujawnił długofalowe operacje dywersyjne Rosjan i Chińczyków, których celem było rozpowszechnienie narkotyków w krajach zachodnich. Douglas opisał zwłaszcza powiązania największych karteli narkotykowych z centralami wywiadowczymi państw komunistycznych. W tego rodzaju akcjach celował zwłaszcza chiński przywódca Mao Tse Tung, którego ulubioną lekturą była „Sztuka wojny” Sun Tzu, i który powtarzał, że Chińczycy powinni wziąć odwet za XIX-wieczne „wojny opiumowe” i to oni w XX stuleciu powinni wykorzystać narkotyki przeciw swoim wrogom.

Innym rodzajem działalności komunistycznej było eskalowanie nastrojów antysemickich. Jednym z przykładów może być przeprowadzona na przełomie lat 1959/1960 operacja „Swastyka”, której szczegóły ujawnił zbiegły na Zachód agent KGB Rupert

Sigl. Otóż pomiędzy Bożym Narodzeniem 1959 a połową lutego 1960 roku zanotowano w RFN aż 833 wystąpienia antysemitki: profanacje żydowskich cmentarzy, pomników i synagog. Mieszkający w Niemczech Zachodnich Żydzi otrzymywali anonimowe pogróżki telefoniczne i listowne. Jednocześnie w tym samym czasie antysemitki ekscesy miały miejsce w Londynie, Oslo, Wiedniu, Paryżu, Parmie, Glasgow, Kopenhadze, Sztokholmie, Mediolanie, Antwerpii, Nowym Jorku, Melbourne, Manchesterze, Atenach, Perth, Bogocie i Buenos Aires. Najwięcej było ich jednak w RFN - łącznie w kilkudziesięciu miastach. Nic więc dziwnego, że Niemcy Zachodnie zaczęły tracić zaufanie swoich sojuszników z NATO: w niektórych krajach zaczęto ignorować zachodnioniemieckich dyplomatów, zwalniać zachodnioniemieckich pracowników, wycofywać ze sprzedaży niemieckie towary czy też zrywać kontrakty z RFN-owskimi partnerami. Wielki tytuł w „New York Herald Tribune” głosił: „Bonn nie jest w stanie wyeliminować nazistowskiej trucizny”.

Sowieci nie poprzestawali na tego typu akcjach - swoich agentów wpływu usadawiali też w kluczowych miejscach dla dzisiejszych społeczeństw: jako urzędników w ministerstwach, producentów telewizyjnych, agentów literackich a nawet dostojników kościelnych. Dość powiedzieć, że w latach 1931-1968 dziekanem Canterbury, czyli najwyższym rangą duchownym w Kościele angikańskim, był Hewlett Johnson - człowiek, który po swej podróży do ZSRS w 1937 roku (w czasie największych czystek stalinowskich) napisał wychwalającą komunizm książkę pt- „Socjalistyczna jedna szósta świata” (przetłumaczoną na 25 języków i wydaną

w milionach egzemplarzy), który po spotkaniu ze Stalinem powiedział, że Soso przypomina mu jego matkę: „dobrą kobietę”, który w 1949 roku podczas procesu Krawczenki w Paryżu zeznał, że w Związku Sowieckim nie ma obozów pracy przymusowej, który w 1950 roku otrzymał Stalinowską Nagrodę Pokoju, który oświadczył w końcu, że „Jezus był materialistą”, za co w Wielkiej Encyklopedii Sowieckiej poświęcono mu więcej miejsca niż Chrystusowi.

## Sztuczna negatywność

Oprócz „frontu zewnętrznego” istniał także „front wewnętrzny”. W państwie chanów, a później w państwie carów i komunistycznych sekretarzy nie było miejsca dla opozycji. Pluralizm w sprawach społecznych i politycznych był zakazany. Każdy, kto miał inne zdanie niż władca, stawał się automatycznie zdrajcą ojczyzny. Ponieważ jednak tacy ludzie się pojawiali, musieli być traktowani jak wrogowie. Wobec wroga stosowano zaś wypróbowaną taktykę tataro-mongolską.

Najbardziej znanym przykładem akcji Ochrony była działalność Iwana Azefa - szefa Organizacji Bojowej Partii Socjalistów-Rewolucjonistów, a zarazem tajnego agenta carskiej policji. Jego działalność była jednak o tyle tajemnicza, że kierowana przez niego organizacja dokonała m.in. udanego zamachu na ministra spraw wewnętrznych von Plehwego, który był przecież zwierzchnikiem policji, i to w tym samym czasie, kiedy Azef pozostawał jej konfidentem. Problem „podwójnych agentów” był zresztą stałym

ryzykiem w tej pracy, dlatego aktualne pozostawało wskazanie Sun Tzu: „infiltrujcie wszędzie swoich szpiegów”.

W tej dziedzinie sowiecka CzeKa (oraz jej następczynię: OGPU, NKWD i KGB) przebiła jednak Ochronę: o ile carska policja tylko stawiała swoich ludzi na czele organizacji opozycyjnych, o tyle sowiecka bezpieka tworzyła całe takie organizacje. Najbardziej znaną tego typu akcją (dziś można przeczytać o niej jako o wzorcowej operacji wywiadowczej na stronach internetowych rosyjskiej Federalnej Służby Bezpieczeństwa) była akcja „Trust” w latach dwudziestych ubiegłego stulecia.

Czekiści stworzyli mianowicie fikcyjną organizację antykomunistyczną o nazwie Monarchistyczny Związek Rosji Środkowej i kierowali nią przez pięć lat: od 1922 do 1927 roku. Owa formacja istniała rzeczywiście w latach 1919-20, ale została rozbita przez czekistów, a następnie przez nich reanimowana - co ciekawe, z tymi samymi ludźmi co przedtem, ale teraz zwerbowanymi już przez Sowietów. Kierowali nią carscy generałowie Brusilow, Zainczkowski i Potapow, którzy w rzeczywistości wykonywali bolszewickie rozkazy. Dzięki nim Moskwie udało się skłócić rosyjską emigrację, rozbić opozycję i dostarczyć zachodnim wywiadowcom fałszywych informacji. Przekonano mianowicie kraje europejskie, aby nie interweniowały zbrojnie w ZSRS, gdyż komunizm w tym kraju dogorywa, a konflikt militarny skupi jedynie naród rosyjski wokół sowieckiego rządu, który jeśli zostanie pozostawiony sam sobie, to niechybnie upadnie. Dzięki operacji „Trust” zostali też podstępnie ściągnięci do ZSRS, a następnie aresztowani liderzy antykomunistycznej opozycji emigracyjnej,

m.in. Borys Sawinkow, który następnie zginął, wypadając z okna więzienia na Łubiance.

Ten sam schemat został zresztą wykorzystany po II wojnie światowej do spacyfikowania polskiego podziemia niepodległościowego, kiedy to Urząd Bezpieczeństwa stworzył fikcyjną Komendę WiN-u. Jadwiga Staniszkis na ów sposób działania wymyśliła określenie „sztucznej negatywności”.

## Po intelektualistach - telewizja

Zawrotną karierę w terminologii postmodernistycznej robi dziś słowo *simulacrum*. Najkrócej mówiąc, oznacza ona kopię bez oryginału. Takimi kopiami, które nie miały nigdy swojego oryginalnego wzorca, były wielkie medialne spektakle związane z tzw. Jesienią Ludów w 1989 roku, np. Okrągły Stół w Polsce czy Rewolucja Grudniowa w Rumunii lub też obrona Białego Domu w Moskwie w sierpniu 1991 roku. Właściwie wszystkie one były pomyślane nie jako realne wydarzenia, ale jako wielkie widowiska telewizyjne. Okrągły Stół odwoływał się do istniejącej w Polsce tradycji polityki symboli, a jego celem - by znów użyć sformułowania Jadwigi Staniszkis - było to, by „przełom służył zakamuflowaniu ciągłości”. Okrągły Stół stanowił medialną manifestację ogólnonarodowej zgody, jednak prawdziwe decyzje zapadały nie w obecności telewizyjnych kamer i dziennikarskich mikrofonów, lecz podczas zamkniętych spotkań, jak na przykład w Magdalence. Obrona Białego Domu z bohaterskim Borysem Jelcynem na wieczech czołgu była jedynie faktem wirtualnym, gdyż żadnej obro-



ny nie było, a to z tego prostego powodu, że nie było żadnego szturmu na Biały Dom. Wydarzenie to zaistniało jedynie na dziesiątkach milionów ekranów telewizyjnych na całym świecie.

Dość dużo wiemy już dziś - m.in. z badań przeprowadzonych przez Radu Portocala - o obaleniu rządów Nicolae Caeucescu w Rumunii. W rzeczywistości doszło tam do przewrotu pałacowego, ale po to, by nowa ekipa uzyskała legitymację społeczną, zorganizowano rewolucję. Nieprzypadkowo jej centrum znajdowało się w głównym gmachu państwowej telewizji w Bukareszcie. Była to bowiem „rewolucja telewizyjna”. Jak na rumuńskie warunki rozegrano ją z istic hollywoodzkim rozmachem. Kiedy 21 grudnia 1989 roku uczestnicy demonstracji w centrum stolicy uciekali przed atakiem czołgów, telewidzowie mieli wrażenie, że ledwie uniknięto masakry. W rzeczywistości chrzest pancernych gąsienic był emitowany z wielkich głośników na dachach domów, toteż wystarczyło kilkunastu wmieszanych w tłum agentów, którzy krzyknęli „czołgi jadą!” i rzucili się do ucieczki, by ludzie wpadli w panikę. Telewidzowie mieli wrażenie autentyczności wydarzenia, ponieważ demonstranci nie grali, lecz przerażeni byli naprawdę.

Podobnie z głośników na dachach bloków puszczano nagrania magnetofonowe z seriami karabinów maszynowych. Broniąc dzielnie rewolucji, żołnierze wierni Frontowi Ocalenia Narodowego odpowiadali ogniem karabinowym, w wyniku czego zginęło więcej ludzi niż zastrzelono ich za panowania Ceaucescu. Zachód przytknęła oczy na mord sądowy na byłym dyktatorze po tym, jak francuska telewizja nadała reportaż o tysiącach ofiar zamordowanych

przez Ceaucescu, których zbiorową mogiłę odkryto w Timisoarze. Po raz kolejny mieliśmy do czynienia z *simulacrum*, gdyż żadnej egzekucji nie było, a trupy ze śladami sekcji zwłok zwieziono z różnych kostnic i prosektoriów. Spektakl się jednak udał, gdyż telewidzowie weń uwierzyli.

Najlepiej udokumentowana została jednak akcja dezinformacyjna w Czechosłowacji, związana z tzw. Aksamitną Rewolucją. Czechy były bowiem jedynym krajem, w którym powołano oficjalną komisję (tzw. Komisja 17 Listopada) zajmującą się wyjaśnieniem wszelkich okoliczności tzw. Jesieni Ludów. Dzięki otwarciu milicyjnych archiwów udało się ustalić, że w czerwcu 1987 roku czeskie służby specjalne rozpoczęły akcję o kryptonimie „KLIN”. Jak stwierdził odpowiedzialny za jej przebieg wysoki oficer owych służb Miroslav Chovanec: „celem tej akcji było hamowanie jednoczenia się opozycji i zyskiwanie wpływu w jej szeregach, by możliwe stało się regulowane przejście do systemu pluralistycznego”.

Rok później czeska StB (Bezpieka Państwa) zaczęła tworzyć „nielegalne grupy” i wydawać „konspiracyjne wydawnictwa”, a także powołała do życia nowy rodzaj agenta, czyli „zawodowego” dysydenta antykomunistycznego. Jak wykazała Komisja 17 Listopada, jedną z najbardziej naszpikowanych agentami organizacji „antykomunistycznych” był Klub Obroda (Odrodzenie), wchodzący w skład Karty 77. „Agentura, którą mieliśmy w opozycji, po prostu szła z tą opozycją w górę”, zeznał później Chovanec.

Jednocześnie w samej partii komunistycznej zaczęto awansować działaczy, mających opinię „niepokornych liberalów”, zwo-

lenników „demokratyzacji” i przeciwników „ortodoksyjnego betonu”. Najlepszym przykładem może być postać Josefa Bartončíka, w latach 1971-1988 płatnego agenta StB, sekretarza partii komunistycznej w Brnie, późniejszego lidera ludowców.

Doktor Pavel Žáček, który już po upadku komunizmu w Urzędzie ds. Dokumentacji i Badania Działalności StB zajmował się operacją „KLIN”, pisze: „Chodziło o stworzenie jakiegoś mechanizmu kontrolnego dla zakładanych negocjacji okrągłego stołu, dokładnie według modelu polskiego”. Celem operacji służb specjalnych było więc najpierw stworzenie „antykomunistycznej” opozycji, a później podzielenie się z nią władzą przy „okrągłym stole”. Opinia publiczna miała to przyjąć oczywiście jako porozumienie dwóch stron reprezentujących całe społeczeństwo.

„Aksamitna rewolucja” w Czechach rozpoczęła się 17 listopada 1989 roku od brutalnie rozpędzonej przez milicję studenckiej demonstracji w Pradze. O terminie tej manifestacji funkcjonariusze StB wiedzieli wcześniej niż jej oficjalni organizatorzy - studenci z ruchu STUHA. Demonstracja 17 listopada zapoczątkowała ciąg antyrządowych wystąpień, który doprowadził w końcu do ustąpienia władz. Iskrą, która spowodowała wybuch niezadowolenia społecznego, była rzekoma śmierć studenta idącego na czele antykomunistycznego pochodu.

W rzeczywistości prowadzący demonstrację porucznik StB Ludvík Zifčák-Ružička udawał martwego i został natychmiast zabrany przez karetkę MSW. Tymczasem plotka o jego śmierci zaczęła zataczać coraz szersze kręgi i prowokować do otwartych wystąpień przeciw reżimowi.

Warto nadmienić, że porucznik Zifćak-Ružička był parę miesięcy wcześniej aresztowany przez milicję jako dysydent (co miało uwiarygodnić go w kręgach opozycji), zaś podczas samej demonstracji dążył do tego, by skierować przemarsz studentów trasą zakazaną przez władze, co zakończyć się musiało starciem z milicją.

Jak zeznał jeden z głównych organizatorów operacji „KLIN”, generał StB Alojs Lorenc - na nowego przywódcę państwa kreowany był jeden z przywódców Praskiej Wiosny w 1968 roku, zwolennik Gorbaczowa i „socjalizmu z ludzką twarzą”, Zdenek Młynarz. Przebywał on na emigracji, ale został przywieziony do Pragi przez funkcjonariuszy czeskiego wywiadu. Okazało się jednak, że przybył już za późno - sytuacja wymknęła się spod kontroli.

Władimir Bukowski opisuje to następująco: „Wszystko szło bardzo dobrze, zgodnie ze scenariuszem - aż do ostatniej chwili, kiedy wśród wszystkich tych niepokojów, tuż po upadku rządu, w Pradze pojawił się nagle Młynarz. Miał bardzo wiele wystąpień telewizyjnych, wygłosił przemówienie na Placu Św. Wacława. Ludzie jednak buczeli i gwizdali, ponieważ rzucał tylko stare slogany z 1968 roku. Na tym etapie nie chcieli już Czechosłowacji, nie chcieli «socjalizmu z ludzką twarzą», nie chcieli żadnego socjalizmu z żadną twarzą. Wygwizdany Młynarz wycofał się z gry. Ponieważ reakcja ludzi była inna od tej, której oczekiwał, po prostu obrócił się pięcie i powrócił do Wiednia. I nagle ten bardzo staranny, bardzo precyzyjny spisek wszedł w impas. Sowietci nie mieli na miejscu żadnego swojego kandydata. Sprawy bardzo szybko wymknęły się spod kontroli. Havel ze swoimi przyjaciółmi byli na miejscu i to oni zgarnęli całą pulę.”

Zwróćmy uwagę, że Władimir Bukowski stwierdził: „Sowieci nie mieli na miejscu żadnego swojego kandydata”. Ten znany rosyjski dysydent, tuż po nieudanym puczu w Moskwie w sierpniu 1991 roku i po objęciu władzy przez Borysa Jelcyna, wykorzystał moment politycznej zawieruchy i dostał wgląd do archiwów Kremla. Z materiałów, z którymi się zapoznał, wynika jasno, że władze sowieckie zdawały sobie sprawę, iż niewydolny system komunistyczny nie wytrzyma rywalizacji ze światem zachodnim, dlatego przygotowały plan kontrolowanej transformacji ustrojowej. Według Bukowskiego, proces implozji komunizmu był zdarzeniem wcześniej zaplanowanym w Moskwie i przebiegał według określonego scenariusza - a właściwie kilku różnych scenariuszy w zależności od specyfiki danego kraju (na przykład wariant węgierski różnił się znacznie od rumuńskiego). Według Bukowskiego, jedy-nymi krajami, w których plan całkowicie zawiódł, były NRD i Czechosłowacja.

Wyniki swojej kwerendy w kremłowskich archiwach zawarł Bukowski m.in. w książce „Moskiewski proces”. Jej polskie wydanie zostało w 1999 roku ostro skrytykowane na łamach „Gazety Wyborczej”. Autorowi najbardziej dostało się oczywiście za rozpowszechnianie teorii spiskowych. Recenzent gazety radził Bukowskiemu, aby zajął się raczej „bardziej pożytecznym zajęciem - pisanie thrillerów politycznych w stylu Roberta Ludluma”. Owym recenzentem był Lesław Maleszka, zdemaskowany dwa lata później jako wieloletni płatny agent SB.

W swoim tekście Maleszka obśmiewał m.in. przedstawioną przez Bukowskiego wersję „aksamitnej rewolucji” w Czechach.

Tymczasem wystarczy wejść na oficjalne strony internetowe czeskiej policji (Policie Ceske Republiky), by w katalogu tamtejszego Urzędu Dokumentacji i Badania Zbrodni Komunizmu odnaleźć teksty dotyczące szczegółów operacji „KLIN”, potwierdzające prawdziwość faktów podawanych przez Bukowskiego.

Wiedza ta jest w Czechach powszechnie dostępna od roku 1994, kiedy to po raz pierwszy opublikowano wyniki badań komisji. Co ciekawe, wiedza ta nie została upowszechniona w polskich mediach, chociaż w Pradze akredytowanych było wielu korespondentów, a tak sensacyjny temat powinien stanowić łąkowy kąsek dla każdego dziennikarza. Dzięki temu widzowie polskiej telewizji i czytelnicy polskiej prasy zostali uchronieni jednak od snucia niepotrzebnych porównań z wydarzeniami w Czechach.

Dopiero w świetle przedstawionych powyżej faktów staje się jasne, dlaczego Czechom bardzo szybko udało się przeprowadzić lustrację i dekomunizację. Gdyby zwyciężył wariant „okrągłego stołu”, do którego zasiadłaby „konstruktywna opozycja”, zapewne mielibyśmy tam do czynienia z filozofią „grubej kreski”.

Warto dodać, że uchwalenie ustawy lustracyjnej spotkało się z gwałtownym atakiem dużej części czeskich mediów, których publicyści wyczuli już swąd palonych na stosie czarownic. Ataki umilkły nagle w maju 1992 roku, kiedy dwa konserwatywne dzienniki: „Telegraf” i „Metropolitan” opublikowały legitymacyjne fotografie wraz z danymi osobowymi 400 czeskich dziennikarzy, którzy byli niewątpliwymi agentami bezpieczeństwa. Niewątpliwymi, czyli takimi, którzy fakt współpracy z StB potwierdzili własnym podpisem, często na pokwitowaniu honorarium.

Wydarzenia 1989 roku potwierdzają spostrzeżenia Rogera Mucchielliego, który już w 1971 roku w swej pracy pt. „Dywersja” pisał, że bez prasy, radia i telewizji dezinformacja jest dziś bezsilna, gdyż „mass media są idealnym nowoczesnym narzędziem manipulowania opinią publiczną”.

Marshall McLuhan zapytał kiedyś swoich słuchaczy: „W jaki sposób łowi się dzisiaj ludzkie dusze? Wędką czy siecią?” Kiedy milczeli, odpowiedział: „Ani wędką, ani siecią. Wędką łowiono w czasach Apostołów, siecią - w epoce Guttenberga. Dzisiaj natomiast wymienia się wodę. I robią to media elektroniczne.”

Gdyby przenieść to porównanie na nasz grunt, to okazałoby się, że wędką łowili kupcy na starożytnych bazarach, siecią intelektualności w swoich książkach i broszurach, dzisiaj natomiast media wymieniają nam wodę - zmieniają nam nasze środowisko naturalne, gdyż naszym środowiskiem w coraz większym stopniu staje się przestrzeń informacyjna.

Wobec manipulacji, dezinformacji i prowokacji zadanie pozostaje właściwie jedno: nie pozwolić im, żeby złowili nasze dusze.

